



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Kalina Kwiatkowska

## Znad Wilii

Przyszłam na świat krótko przed wojną. Nie ważne gdzie i kiedy. Dość, że w momencie, gdy wojna miała się rozpocząć, mieszkaliśmy w Wilnie, w pięknej dzielnicy tuż obok parku zwanego Zakretem, w drewnianym domku, w którym mieściły się cztery mieszkania. Z pewnością w przyszłości miały to być mieszkania luksusowe. Na razie domek nie był jeszcze wykończony; jedynym luksusem była elektryczność. Niemniej mieszkanie było dość przestronne, miało cztery pokoje (dwa malutkie; nie wiem, czy jeden z nich był służówką, czy też zamiarem właściciela było zrobienie w nim w przyszłości łazienki); kuchnia spora, węglowa, ale piec z zapiekiem (chyba tak to się nazywało, można było się na tym położyć); studnia na podwórzu; ustęp obok komórek w ogrodzie. Do piwnicy osobne schody prowadziły z podwórza; by tam się dostać trzeba było obejść spory kawał domu. W przyszłości miało się okazać, że i to jest ważne. Do samego mieszkania prowadziły dwa wejścia: jedno frontowe, od ulicy, którego zresztą wcale nie pamiętam i drugie służbowe, z podwórza wprost do kuchni. Te schody były dość wąskie i zakręcane; pamiętam je dość dobrze, bo kiedyś wносиłam wózek dla lalek i już będąc niemal u samej góry upadłam i stoczyłam się aż do parteru.

Sama uliczka Zaulek Zakretowy nie była długa, zabudowania ciągnęły się z jednej strony (chyba wszystko zabudowa drewniana), a po drugiej był drewniany parkan i park. Ruch uliczny, przynajmniej na początku wojny, niewielki. To też czasem przebiegałyśmy przez jezdnię i przez dziurę wygrzebaną pod parkanem wślizgiwałyśmy się do parku, aby tam się bawić.

Rodzina była czteroosobowa. Ojciec, nauczyciel gimnazjalny, matka – oczywiście niepracująca (jako zamężna nie mogła pracować), siostra ode mnie starsza o około 5 i pół lat oraz ja. Ojca nie powołano pod broń, nie chciano go przyjąć do wojska jako ochotnika, bo już był na to zbyt „stary”. Ale angażował się w inne formy działalności, zapewne równie niebezpieczne, o których jednak my, dzieci, nic nie wiedziałyśmy. Ostatnie wakacje mama spędziła z nami w Czarnym Borze albo Ignalinie. Były to miejscowości letniskowe położone niedaleko Wilna. Jechało się tam ze wszystkim, co mogło być potrzebne: garnkami, wanienkami, pościelą itp. Wróciliśmy dopiero po wybuchu wojny w dniu 11 września, podczas gdy na Wilno pierwsze bomby spadły już 2 września. Ojciec całymi dniami dyżurował przy radioodbiorniku (co i tak stanowiło duży luksus) i śledził rozwój wypadków, ale nie pomyślał o zaopatrzeniu domu ani na zimę ani na wypadek wojny. Potem mamie z trudem udało się kupić wózek drzewa osikowego, które miało wystarczyć na całą zimę i na ogrzewanie mieszkania i na gotowanie. O węglu nawet marzyć nie było można, może wcześniej był jeszcze osiągalny, ale nie we wrześniu. Chyba jednak kapustę i ziemniaki mama zdobyła, bo na początku wojny to była podstawowa strawa nie tylko dla nas ale i dla wszystkich, którzy przewijali się przez nasz dom w tym czasie.

Pierwszy okres wojny można odtworzyć z notatek sporządzonych przez Ojca w kalendarzyku na 1939 roku.

Po dwóch największych nalotach 15 i 16 września nad Wilnem pojawiły się 17 września samoloty sowieckie, a 19 września do Wilna weszli Rosjanie, którzy z kolei 28 października przekazali władzę Litwinom. Litwini wśród wielu innych posunięć zarządzili wprowadzenie języka litewskiego do szkół. Młodzież gimnazjalna (były dwa gimnazja państwowe męskie i dwa żeńskie) odpowiedziała strajkiem. Polegał na tym, że przestano chodzić do szkoły. Nie wszyscy wytrwali w tym postanowieniu. Ale rezultatem strajku było wypowiedzenie pracy nauczycielom – Polakom. Ojciec otrzymał wypowiedzenie w dniu 30 listopada.

Ale zanim do tego doszło w domu nastąpiło zagęszczenie. W dniu 11 października dotarła do nas rodzina uciekająca z Warszawy. Nie wiem, czy całą drogę czy tylko jej część przebyli pieszo, niosąc na plecach swoje „skarby” – cały majątek, jaki im pozostał. Pozostawili w Warszawie umeblowane mieszkanie, dobrze zaopatrzoną na zimę spiżarnię. Kto inny z tego korzystał. A było ich tylko 5 osób. W dwa dni później znad granicy łotewskiej przybyła inna ciotka, nauczycielka, a zarazem kierowniczka szkoły 4-klasowej. Pomagała tym ludziom jak potrafiła. Była jedyną nauczycielką. Musiała, jak to często było na wsi, uczyć równocześnie dzieci z 4-ch klas. Opowiadała mi mama, że kiedyś pojechała odwiedzić ciocię Jankę – a nie było to najłatwiejsze, bo do najbliższej stacji kolejowej było, jeśli się nie mylę około 30 kilometrów, a do miasta powiatowego 50 kilometrów. (A może odwrotnie?) Oświetlano mieszkania lampkami naftowymi. Pierwszą we wsi lampkę zapalała pani nauczycielka. Do niej po światło przychodził gospodarz, u którego mieszkała. Gdy już u niego pojawiło się światło, przychodził ktoś z sąsiedniej chałupy i zapalał swoją lampę. I w ten sposób światło stopniowo przenosiło się dalej, aż cała wieś rozbłysła świecidełkami, zapalonymi od tej jednej jedynej zapalniczki pani nauczycielki. Dzieci były zabiedzone, niektóre nie miały ubrania. Zdarzało się, że zimą były bez butów, któreś matka przynosiła na rękę, aby nie szło boso po śniegu. W pierwszym roku pracy na tej zapadłej wsi ciocia napisała do Lublina do swych dawnych uczennic – bo tam przedtem uczyła w szkole prywatnej, zatrudniającej nauczycieli na 10 miesięcy w roku, od września do czerwca – z prośbą o używaną odzież. Przysłała paczkę, ubrania rozdzielano na św. Mikołaja. Dzieci nie posiadały się z radości. Tak, ale to było czasu pokoju. A teraz była wojna. Zaraz na początku ktoś przyłożył cioci rewolwer do głowy i powiedział, coś w tym rodzaju: „Niech się Pani wynosi. Żeby Pani już jutro tu nie było, bo inaczej zastrzelimy. Przeciwnie Pani nie mamy nic, ale Pani jest Laszką, a my Lachów nie chcemy.”

Cóż miała robić? Najbliżej było do Wilna, więc przyjechała do nas. Tak więc tej pierwszej zimy było nas około 10 osób. Uchodźcy wprawdzie uzyskali kartki na żywność, potem mogli korzystać z kuchni dla uchodźców, gdzie otrzymywali obiady. Chyba zawsze ktoś (najczęściej obie ciotki) szedł po obiad. Codziennie był pęczak. Wszyscyśmy potem z tego korzystali. Mama jeszcze długie lata po wojnie nie mogła na pęczak patrzeć. A w domu gotowano olbrzymie gary parzybrody (kapusta z ziemniakami). Najstarsze z dzieci, 13-letni wówczas chłopak, wstając po obiedzie od stołu powiedział kiedyś: Ciociu, czuję się tak jakbym miał dopiero siadać do stołu. Ta potrawa niezbyt syciła. Po chleb natomiast chodzono o świcie pod piekarnię. Trwała jeszcze godzina policyjna, zimą o 4-tej czy 5-tej nad ranem już tłumy kobiet kłębiły się wzdłuż ulicy, aby zdobyć chleb kartkowy, o którym było wiadomo, że i tak dla wszystkich go nie wystarczy. Policja litewska rozpędzała kolejkę, zamierzała się na ludzi nahajami; ale po każdej takiej akcji osoby najbardziej wytrwałe dobiegały do kolejki i przesuwały się trochę do przodu. Tak samo w czasie nalotów, gdy zbliżały się bombowce rozbiegano się po bramach, a potem doskakiwano do kolejki, bo może uda się zbliżyć choć trochę do sklepu, mimo, że jeszcze chleba nie było. A potem przynoszono chleb, trochę gliński, zmieszany podobno pół na pół z wytłokami z buraków, ale jednak chleb, którym można było zatkać żołądek i oszukać głód. Jakie były racje żywnościowe? – tego nie wiem. Wiem tylko, że dzieciom do lat 4 przyznawano kartki na mleko, tyle że mleka na ogół nie było. Całymi miesiącami nie oglądało się tego rarytasu. Czasami latem było mleko zsiadłe. A zimą? Nie wiem jak było za rządów Rosjan czy Litwinów. Ale za Niemców kobiety ze wsi usiłowały przynosić mleko w bańkach. Latem, gdy mogły przedzierać się przez lasy, pojawiała się czasem na targu. A zimą śnieg w lasach na to nie pozwalał. Musiały iść drogą. A na rogatkach najczęściej stali jacyś żołnierze. Kazali postawić bańki, a potem kopali je nogą, a mleko się wylewało. Tak rzadko widywałam ten smakołyk, że już po przyjeździe na Śląsk, a i tu nie było widać o to łatwo, zadałam mamie pytanie: czy ja jeszcze kiedyś w życiu będę piła mleko? (Słyszy wtedy do lewarki. Mama powtórzyła to pytanie pani Doktor, a ona – miała podobno kozę w ogródku – zaraz wezwała kogoś z domowników, coś mu szepnęła, a potem wyprowadzono mnie do sionki i dano do wypicia całą szklankę koziego mleka. Ale to już było po wojnie.)

Na początku 1940 roku władze litewskie zajęły się uchodźcami, dostali nakaz przeprowadzenia się do obozu w Żagarach, w pobliżu granicy łotewskiej. Pojechała cała rodzina z Warszawy i ciocia nauczycielka.

A w Wilnie, nadszedł 20 maja 1940 roku, kiedy to Litwini aresztowali Ojca. Do dziś nie wiemy za co. Początkowo nawet pozwolono mu robić notatki, dano przybory do pisania, potem podobno zamknięto

w pojedynczej celi. O tym, co tam przeżył, nie wiemy. Raz tylko przywieziono go do domu na konfrontację, czegoś szukano wśród książek i papierów. Mama podawała do więzienia paczki, ale widzenie wywalczyła w Kownie dopiero, w sądzie wojskowym. I tylko „po siemiejnym diełam”. Gdy Niemcy napadli na Związek Radziecki, Rosjanie, którzy w międzyczasie znowu przejęli Wilno od Litwinów, zdążyli 23 czerwca 1941 roku wywieźć z więzienia na Łukiszkach część więźniów transportem kolejowym, który dotarł do Gorkiego w Rosji. W tym transporcie znalazł się i Ojciec. To go ocaliło przed pewną śmiercią, choć w więzieniu w Gorkim przebywał jeszcze kilka miesięcy, a potem skazano go na przymusowe osiedlanie w Szatkach pod Gorkim. Ale o tych jego losach dowiedzieliśmy się wiele lat po wojnie. Wtedy nic o nim nie było wiadomo. Jedynie nazajutrz po wejściu Niemców udało się mamie odzyskać z więzienia rzeczy ojca (zegarek, notatki). Wszystko było w największym porządku, posegregowane. Ale rzeczy należące do więźniów wydawano rodzinom jedynie tego dnia. Następnego magazyn zamknięto, a rodziny poinformowano, że Rosjanie wszystko wywieźli. Myśmy miały jeszcze szczęście, odzyskując te „skarby”.

Niezależnie od spraw związanych z uwięzieniem ojca, ze staraniami o udzielenie mu pomocy, trzeba było zapewnić rodzinie warunki przeżycia. Mama musiała iść do pracy. Zgłosiła się do biura pośrednictwa, gdzie jej powiedziano, że jako żona „politycznego” może iść jedynie do pracy fizycznej. Otrzymała wówczas pracę jako pomoc kuchenna w szpitalu wojskowym. Praca była dość ciężka, bo ręce miała wечно niszczone przez jakieś kwasy i środki do szorowania czy dezynfekcji. Ale nie to było najgorsze. Lecz choć pracownice mogły się nawet najeść do syta resztkami pozostającymi po wydaniu posiłku, nie wolno im było ani odrobiny pożywienia wynieść ze szpitala. A dzieci były głodne. Która matka by to wytrzymała? Kucharka kazała raz swojej córeczce podejść z garnuszkiem pod szpital, aby jej wlać choć trochę zupy. Ktoś to zauważył i chyba została wyrzucona. Mama też zrezygnowała z tej pracy. Potem pracowała przy wyrównywaniu terenu pod planowaną budowę lotniska w Ponarach. Mężczyźni zwozili gruzy, a panie układały cegły w kubiki. A wszystko robiono na akord. Praca trwała od świtu do nocy. Spieszono się bardzo, więc w trakcie roboty pot z nich spływał. Ale za to w czasie powrotu do domu wszystko na nich sztywniało. Była zima i mrozy. A transport był zapewniony tylko w jedną stronę, dowożono tych robotników do pracy. Wracać mogli pieszo, choć czasem zdarzała się okazja, by podjechać. A dzieci? Czekają bidulki w domu na powrót mamy, siedząc przytulone do siebie na małym stołeczku. Zresztą byłam wtedy całymi dniami na opiece siostrzyczki – do niej należało umyć mnie, ubrać, nakarmić. Siedmioletnia czy ośmioletnia osoba może już wszystkim podołać. Przecież to wojna, a wtedy szybciej się dojrzewa.

Czy za Niemców mama pracowała, nie wiem. Jakoś musiała wiązać koniec z końcem. Wiem, że wyprzedawała powoli wszystko, co miała w domu; pośredniczyła także w sprzedawaniu mienia innych ludzi, którzy sami tego uczynić nie mogli. Wyglądało to w ten sposób, że ładowała ubrania, biżuterię, czy jakieś drobne przedmioty przeznaczone na sprzedaż do plecaka czy torby i szła pieszo na wieś, nieraz po 60-80 kilometrów. Każdy powierzając jej swoje mienie określał, co chce za to otrzymać. Były to wielkie wymagania: kawałek słoniny, woreczek kaszy, czasem trochę mąki czy innych wiktuałów. Za to mogła otrzymać jakiś procent. Wieśniacy nieraz jej mówili, że widać iż nie jest handlarą, bo nie umie zdzierać. Dla siebie odkładała tylko 10 procent, bo podobno taką marżę stosowano przed wojną. Zwykle taka wyprawa zajmowała jej 4-5 dni. W tym czasie byliśmy na opiece sąsiadów, bezdzietnego małżeństwa, które pojawiło się w naszym życiu w czasie, gdy dzielnica Wilna, w której mieszkali, wskutek nalotów legła w gruzach. Ponieważ zniszczenia były wielkie i ludzie ci nie mieli się gdzie podziąć, ci, którzy nie przeżyli bombardowania zaczęli przyjmować tamtych do swych mieszkań. To małżeństwo pozostało u nas do końca wojny, a nawiązana wówczas przyjaźń przetrwała aż do ich śmierci w latach 80-tych.

Czas mijał. W początkach 1941 roku ktoś dał mamie znać, że podobno mają likwidować obóz dla uchodźców w Żagarach. Trzeba było wyciągnąć stamtąd rodzinę. I znów starania, wędrowniki (dzieci pozostawione na opiece obcych ludzi) – ale udało się. Wujek otrzymał pracę robotnika rolnego w majątku w pobliżu Oszmiany. A potem, gdy przyszli Niemcy, starali się o zezwolenie na powrót do Generalnej Guberni i po jakimś czasie otrzymali, tyle, że nie do Warszawy a do Kielc, gdzie wujek dawniej pracował. Ustalono termin odjazdu. Jakoś dotarli do Wilna (w czwórkę, bo w międzyczasie dziewczynę, która była z nimi, zabrali Rosjanie i wywieźli na wschód. Odnalazła się dopiero w 1945 roku, po zakończeniu wojny, wśród Platerówek, gdy odszukała wujostwo w Kielcach i na chwilę tam wpadła. Pamiętam, jak oglądałam jej karabin. Ale to było po latach) i zaczęło się koczowanie na dworcu w oczekiwaniu na pociąg. Dano znać do nas, że są na dworcu. Więc znowu mama ugotowała coś w rodzaju obiadu i zaniósła na dworzec. Uczyniła to raz i drugi. Nie pamiętam jak długo to trwało, ale gdy raz poszła z posiłkiem już ich nie było. Pierwszym pociągiem jadącym na zachód odjechali.

Były i momenty bardziej dramatyczne. Kiedyś na dworcu wpadły podobno na siebie dwa pociągi z amunicją. Detonacja była tak silna, że prawie w całym mieście wyleciały szyby. Mama była na mieście. Przerazona dosłownie pędziła do domu zobaczyć, czy nam się coś nie stało.

Innym razem wracała przed godziną policyjną i już niedaleko domu zobaczyła karetkę czerwonego krzyża. Już wiedziała, co to oznacza, bo łapano młode kobiety, aby od nich zdobyć krew do transfuzji dla własnych żołnierzy. Nie odbywało się to jak obecnie w stacji krwiodawstwa. Żadna z tych kobiet nie wróciła, więc przypuszczano, że zabierano im niemal całą krew. Nie czekała więc, aż karetka zatrzyma się obok niej, lecz zaczęła uciekać. A sanitariusze wyskoczyli z karetki i gonili za nią. Mama wpadła do jakiegoś ogrodu. Było już po zmroku. Z domu wyszedł jakiś mężczyzna, mama do niego dobiegła i poprosiła, by ją gdzieś schował. Polecił, by stanęła za drzwiami w sionce, a sam zapalił papierosa, stanął w otwartych drzwiach i obserwował, co robią. Sanitariusze wprawdzie wpadli do ogrodu, przeszukiwali krzaki, ale do mężczyzny nie podeszli. Gdy ich poszukiwania skończyły się fiaskiem, w końcu karetka odjechała. Wówczas ów mężczyzna powiedział: może pani iść, już ich nie ma. Mama podziękowała i roztrzęsiona wróciła do domu. Nie wiedziała kim był jej wybawca, ani go nigdy więcej nie spotkała.

Kiedyś jesienią dowiedziała się, że w jakimś mająteczku poszukują kobiet do wykopywania ziemniaków, a zapłacą workiem ziemniaków. Zapasów na zimę nie było. Nie chciała zmarnować takiej okazji; uprosiła sąsiadkę, by się nimi zaopiekowała i zgłosiła się. Wykopki trwały zdaje się tydzień lub dwa. Oprócz mamy była jeszcze jedna nauczycielka, która nigdy w życiu nie była na wykopkach, podczas, gdy pozostałe, to były „zawodowe” kopaczki; nowicjuszki w tym zawodzie popatrzyły jak inne to robią i usiłowały je naśladować. Oczywiście ciągnęły się na końcu pracownic, więc tamte z nich kpili. Doszło to do właściciela, zainteresował się, która to pani profesorowa i... zaproponował, by odtąd nocowała we dworze, a nie na sianie – a jeśli chce, może kogoś dobrać sobie do towarzystwa. Poprosiła do towarzystwa ową nauczycielkę. Już do końca wykopków nocowały we dworze. A na kolację kobiety robiły placki ziemniaczane. Jak opowiadała mama, jedna z nich tak szybko ucierała ziemniaki (przecież robotów nie było), że kilka kobiet nie potrafiło nadążyć z obieraniem. Najważniejsze, że potem przywieziono im te obiecane jako zapłatę ziemniaki.

A tymczasem w domu nie było najlepiej. Ja w czasie jej nieobecności przeszłam obustronne zapalenie uszu. Jeszcze teraz pamiętam jak bardzo mnie to bolało. Leżałam w łóżeczku i nawet nie wstawałam, tylko płakałam z bólu. Bezdzienna sąsiadka, pani Jadzia, czuła się zupełnie bezradna i nie wiedziała, co robić. Mama zaraz pobiegła ze mną do laryngologa, ale na interwencję lekarza było już za późno, już doszło do zniszczenia błony bębenkowej w obu uszach. (Potem nastąpiły dalsze zapalenia.) Skutki tego odczuwam do dziś.

A potem nastąpił okres wzmożonych nalotów, nieraz co noc wyły syreny i leciały bomby. Wieczorem kładąc mnie do łóżeczka, mama jedynie zdejmowała sukieneczkę, aby w razie nalotu szybko móc uciekać do piwnicy. Czasem alarm następował zbyt późno i nie dawało się wyskoczyć z domu. Pamiętam noc jasną jak w dzień. Samoloty zrzucały zapalone flary, oświetlające teren przeznaczony do bombardowania. Byłyśmy w kuchni, bo stamtąd najłatwiej było wypaść w stosownej chwili na schody. Cofnęłyśmy się z mamą za piec. W kuchni było tak jasno, że chyba dałoby się odnaleźć rzuconą na podłogę igłę. Dopiero, gdy pierwsza fala samolotów odplynęła mogłyśmy wyskoczyć z domu i pobiec do wejścia do piwnicy, a potem pędem na dół. Przebieierałam nóżkami usiłując dosięgnąć schodów. Może co trzeci dotknęłam. Mama trzymała mnie w pól i właściwie bardziej niosła niż ciągnęła. Tej nocy zniszczenia były ogromne. Trzeba było i tym ludziom dać dach nad głową. I znowu, jak poprzednio, mieszkańcy ocalałych dzielnic ścieśnili się, przyjmując do siebie bezdomnych. Wtedy wprowadzili się do nas dalsze dwie rodziny zajmując oba malutkie pokoiki. Ale to było chyba już po wyparciu z Wilna Niemców przez Rosjan.

O Wilno walka nastąpiła w lipcu 1944 roku. Gdy już było wiadomo, że Rosjanie zbliżają się do miasta, a Niemcy chyba wcale nie zamierzali im łatwo ustępować, polecono ludności uciekać z miasta, bo tu będzie „gorąco”. Ludzie uciekali w różnych kierunkach. Myśmy uciekły, chyba z panią Jadzią i jej mężem, za Wilię na tzw. Karolinki. Były to tereny górzyste, zalesione. Wzięłyśmy ze sobą plecak, jakieś walizy z najważniejszymi rzeczami. Ja niosłam na ramieniu mały tekturowy tornister przedszkolaka, w którym mieścił się pluszowy miś; nie pamiętam, czy było tam coś jeszcze. Spodziewając się, że nadejdzie pora ucieczki z miasta, nasze panie zaczęły już wcześniej gromadzić żywność. Doszły do wniosku, że najmniej miejsca zajmą okruchy. Wobec tego suszyły chleb i przepuszczały przez maszynkę do mięsa, a okruchy gromadziły w płóciennym woreczku. Teraz, gdy trzeba było iść na Karolinki, nie wiadomo na jak długo, mama złapała woreczek z okruchami. Jeszcze do teraz przechowuję mały, emaliowany, trochę poobijany garnuszek, pojemności około 150 mililitrów, w którym mama przygotowywała dla nas codzienny posiłek. Jeśli dobrze pamiętam, dzienna porcja wynosiła: około 2/3 kubeczka okruchów zalanych wodą, którą nocą panowie gdzieś zdobywali. Bo nie byłyśmy na Karolinkach same. Na to miejsce przyszły cztery rodziny.

Pierwszą noc spędziliśmy wśród drzew, pod gołym niebem. Dobrze, że noc była ciepła. Musiała też być dość jasna, bo zamęczałam mamę pytaniem, która godzina, a ona mogła tę godzinę zobaczyć na zegarku. Za każdym razem pytając myślałam, że może już minęło kilka godzin, a pytałam dosłownie co dziesięć minut.

Miejsce, w którym się zatrzymaliśmy nie było najlepiej wybrane. Była to kotlinka pomiędzy dwoma wzgórzami, na których umieszczono stanowiska artyleryjskie – na jednym rosyjskie katiusze, na drugim niemieckie kulomioty. Strzelano i we dnie i w nocy. Zapamiętałam zwłaszcza strzelaninę nocną, bo choć pomimo strzelania smacznie zasypiałam, za każdym razem i mama i siostra rzuciły się na mnie, by swym ciałem chronić najmłodszą latorośl przed śmiercią. A poza pierwszą nocą mieszkaliśmy już luksusowo. Pod osłoną ciemności panowie wykopali w piachu ziemianki, przykryli gałęziami i każda rodzina miała odtąd swoje lokum. Tyle, że piach sypał się na głowy, a artyleria do snu nam przygrywała. I do tego dało się przyzwyczaić. Po kilku dniach, w czasie chwili spokoju wyszliśmy z siostrą na pobliskie wzgórze i patrzyliśmy za Wilię na miasto. Płonęło. Widać było nawet płomienie, morze ognia rozlewało się wzdłuż całego miasta i blisko rzeki. Usiłowaliśmy zgadnąć, czy nasz dom też płonie, był przeciw drewniany. Na szczęście dla nas ocalał. Tylko część wybitych okien trzeba było zabić dyktą. A w domu czekała nas niespodzianka. Na drzwiach w małym pokoiku wisiała jakaś sukienka mamy. Gdy chciała ją ubrać, odczuła, że jest dziwnie ciężka. Okazało się, że do domu wpadł odłamek. Kawał żelaza przebił ścianę, przeleciał pokój i dosłownie zawisnął na skrawku materiału. I tak wisiał aż do naszego powrotu.

Ale skąd to morze płomieni? Mówiono później, że Niemcy, wycofując się z Wilna, przejeżdżali po ważniejszych ulicach dwoma ciężarówkami; z pierwszej oblewano domy benzyną, a z drugiej strzelano pociskami zapalającymi. Spłonęły wówczas domy frontowe, natomiast pozostały oficyny.

Chyba po tygodniu pobytu na Karolinkach przyszli do nas Rosjanie. Zobaczyli rodziny z dziećmi i dali dzieciom zupę z kuchni polowej. Jadliśmy pierwszy raz od tygodnia gorącą zupę. Mama, przewidując że już takiej okazji nie będzie, zostawiła połowę na później. Ale potem przyszli następni i kazali nam się wynosić, bo tu może być niebezpiecznie. Trzeba było zagrzebać w piachu przyniesione bagaże (potem większość z tego rozszabrowali szabrownicy. Tylko część i to rozrzuconą wokół tego miejsca, gdzie rzeczy były zagrzebane, udało się mamie odzyskać. Nawet książeczki do czytania dla dzieci uległy w wilgoci znacznemu zniszczeniu. Ale jedną siostra do dziś przechowuje) i iść w nieznane, zaledwie z jedną walizką. Zaczęła się wędrówka. Szliśmy większą grupą. Doszliśmy do jakiegoś majątku. Była tam wielka szopa, w której ustawiono ławki, ale miejsca dla nas nie było. Musieliśmy iść dalej. (Podobno potem tę szopę zbombardowano). Wędrowaliśmy lasami lub po rozległych łąkach, pogoda była ładna. Gdyby nie wojna, z pewnością byłaby to ładna wycieczka. Byliśmy w pewnym momencie na środku łąki czy polany, gdy usyszano, że lecą samoloty. Ktoś zarządził: padnij! W pobliżu rosła duża kępa krzaków. Schowaliśmy się tam, głowy wsunęliśmy pod krzaki, a nogi rozrzucone na kształt gwiazdy. Z samolotów zaczęto nas ostrzeliwać. Jeden odłamek wpadł pomiędzy głowy mojej siostry i pani Jadzi, ale żadnej z nich na szczęście nie zranił. I tak wędrując dotarliśmy do jakiejś leśniczówki. Tam mimo tłoku znalezione jeszcze miejsce dla nas w szopie. Ale nim do tego doszło, pamiętam, że siedziałam w korytarzyku w ich domu na przyniesionej przez mamę walizce, a potem gospodyni dała nam coś do jedzenia. To był drugi gorący posiłek od przeszło tygodnia. Tam byliśmy jeszcze trzy dni.

A potem, gdy linia frontu przeniosła się dalej, mogliśmy wrócić do domu. Tylko, że nie było żadnego mostu, wszystkie zostały wysadzone w powietrze. Zaczęła kursować jakaś łódź, którą przepawiliśmy się na drugi brzeg i przez Zakret poszliśmy w kierunku domu, nie wiedząc, co tam zastaniemy. W lesie leżeli jeszcze martwi żołnierze, leżały konie, a ja dopytywałam się dlaczego oni wszyscy śpią. Nie zetknęłam się do tego czasu bezpośrednio ze śmiercią, nie zdawałam sobie sprawy, że to już ludzie martwi.

Jak już wspomniałam dom ocalał. Ale w parku Rosjanie zgrupowali wojsko, umieścili stanowiska ogniowe, a naprzeciw naszego domu umieszczono olbrzymią bramę, stale strzeżoną przez wartowników. Teren stał się niebezpieczny; zwłaszcza nocą mógł być obiektem licznych nalotów. Dlatego przez dłuższy czas do domu wracało się rano, ale na noc szliśmy za Wilię, do kogoś mieszkającego na Antokolu. Trzeba było nad tą szeroką rzeką wędrować po rzuconej kładce – były to dwie deski, ruszające się jak klawisze, tyle, że z jednej strony przeciągnięto linę, która dodawała odwagi wędrującym wciąż grupom ludzi.

Po jakimś czasie przyszedł do mieszkania jakiś człowiek razem z właścicielem domu, któremu w czasie wojny mama nie płaciła za mieszkanie, bo nie miała po prostu z czego. Człowiek ten powiedział, że jest przedstawicielem władzy i zapytał dlaczego nie płacimy za mieszkanie i jak wielki jest nasz dług. Po otrzymaniu odpowiedzi rzekł: teraz dom przechodzi na własność państwa, właściciel będzie odtąd tylko gospodarzem, a dług anulujemy i odtąd będzie pani płacić... tu określił jakąś niewygórowaną nawet sumę. Mama przyjęła tę informację do wiadomości i podziękowała. Przynajmniej ta jedna sprawa została uregulowana od ręki.

Potem zdawało się, że będzie nieco spokojniej. Dlatego chyba w końcu sierpnia, bo jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego, mama wywiozła mnie (a może nas) do Werenowa koło Lidy, do ciotki Janki, która aktualnie tam otrzymała posadę nauczycielki. Pobytu tam nie pamiętam. Pozostał w mej pamięci tylko jeden obrazek, gdy mama pojechała do Wilna, zaszyłam się w jakiejś krzaki i płakałam z tęsknoty za mamą i siostrą. Ale w pierwszym dniu pobytu, gdy kładziono mnie spać, mama przypo-

mniała: nie zmówiłaś jeszcze paciorka. Uklękałam wtedy na tapczanie i odmówiłam osobliwą modlitwę, która w wersji powtarzanej przez mamę brzmiała następująco: „Dziękuję Ci, Boziu, że znów mogę spać w nocnej koszulce”. Mama popłakała się ze wzruszenia.

A w Wilnie oddano mnie do przedszkola. Byłam może nie najmłodsza, ale jedna z drobniejszych. Pamiętam jak w grudniu przygotowywałyśmy zabawki na choinkę. Miałymy kleić łańcuchy. Pani miała zgromadzone w szafie jakieś różnobarwne papiery, być może jeszcze przedwojenne. Mnie przydzielono odpowiedzialne zadanie. Miałam na przyniesionych do stołu arkuszach papieru rysować ołówkiem kółka przy pomocy zakrętki do kałamarza. Inne dzieci miały to wycinać. Czułam się wtedy bardzo ważna. W pewnym momencie jakaś dziewczynka przyniosła mi arkusz celofanu, na którym ołówek nie pozostawiał żadnego śladu; z jakąż godnością powiedziałam do niej; powiedz Pani, że na tym nie da się rysować.

Z przedszkola trzeba było mnie odbierać. Ktoś z personelu szedł w kierunku naszej ulicy, a u wylotu Zaułka Zakretowego (teraz to się nazywało Donulaićiu) mieszkała zaprzyjaźniona rodzina. Mama się umówiła, że albo ona, albo siostra będą tam na mnie czekać. Ale pewnego razu siostry jeszcze nie było. Chciałam zaczekać, ale panie uważały to za zbyt długie. Wyczekały moment, kiedy będę mogła przejść przez jezdnię i powiedziały, bym śmiało szła do domu, bo one będą na mnie patrzeć. Poszłam. Gdy się obejrzałam nie było nikogo. Ale już byłam blisko domu.

Mimo, że wojna jeszcze trwała zaczęto już w styczniu organizować transporty do Polski. Ludzie uzgadniali terminy, zapisywali się na transport. Kiedyś przychodził ktoś z urzędu dowiedzieć się, czy wyjeżdżamy i kiedy. Mam ustaliła, że pojedziemy bodaj w lipcu. Trzeba było załatwić kartę repatriacyjną, uzyskać zezwolenie na wywóz pewnych rzeczy (na karcie wystawionej 15 stycznia 1945 roku zaznaczono, że mamy prawo wywieźć bibliotekę ojca i maszynę do szycia), część rzeczy sprzedać, inne porozdawać. Aż tu ktoś zawiadomił mamę, że jesteśmy na liście do wywiezienia na Sybir. Ponieważ do planowanego wyjazdu do Polski było jeszcze sporo czasu, więc i z wywozieniem na Sybir nie spieszono się. Trzeba było działać jak najszybciej. Nie wiem ani kto, ani jakimi drogami to załatwiał, dość, że omijając kolejkę umieszczono nas na liście zapasowej i gdy jakiś lekarz złamał nogę i wycofał się z transportu, wskoczyliśmy na jego miejsce. Pewnego dnia dano nam znać, że jutro o godzinie 17-tej mamy być w wagonie. A ja akurat rozchorowałam się, miałam wysoką gorączkę. Jeszcze o godzinie 11-tej mama stawiała mi bańki, a krótko potem przyjechała furmanka, by zabrać nas na dworzec. W pakowaniu rzeczy, już w poprzednim dniu pomagała znajoma. Stąd wybór przywiezionych rzeczy był dość przypadkowy. Ale najważniejsze było by wyjechać. W pociągu, w wagonie towarowym, mama umieściła na mojej ręce zegarek, dokumenty ukryła mi na brzuszku, innym ludziom (a jechała z nami jedna z sublokatorek, która potem kierowała się, jak większość osób z wileńszczyzny na Pomorze) podała adres swej siostry w Kielcach, na wypadek gdyby ją zabrano jeszcze z transportu. Trzy dni jechaliśmy do granicy z Polską. Potem przeniesiono nas do metalowych węglarek. Ten fragment podróży lepiej zapamiętałam. W wagonie były dwie rodziny. Zajmowałyśmy część na prawo od wejścia. Na koszu z pościelą mama zrobiła nam coś w rodzaju legowiska, byśmy mogły się trochę wyciągnąć w nocy. Cóż kiedy zaczęły się deszcze wiosenne. Jechaliśmy lub staliśmy w strugach deszczu, czasem tylko siąpił kapuśniaczek. Co przejechaliśmy jakiś kawałek, odstawiano nas na bocznice i czekaliśmy. To brakowało parowozu, to czekano na coś innego (może na łapówkę?). Kiedyś, gdy deszcz był uciążliwy, mama zabrała nas i poszłyśmy do biura zawiadowcy stacji, by nam pozwolił przespacerować się choć na siedząco w suchym pomieszczeniu. Pozwolił. Ale nazajutrz wysłał pociąg kawałek dalej. I znów postój. Pewnego dnia nasz pociąg stał na bocznicy, a na sąsiednim torze stał pociąg towarowy z deskami z tartaku. Mężczyźni przeszli wówczas do tamtych wagonów i przerzucili część desek do nas. Zrobiliśmy sobie coś w rodzaju zadaszania, pod którym można było skryć się przed deszczem. Myśmy spały skulone we dwójkę na niezbyt dużym koszu, a mama stała nad nami, kładąc się górną połową ciała na deski, by nie pospadały. I tak jechało się dalej. Ale była i pozytywna dla nas sytuacja, gdyż w sąsiednim wagonie gospodarze wieźli ze sobą krowę. Zwierzę męczyło się, ale było mleko. Wystarczyło podać butelkę, by otrzymać ciepłe świeże mleko.

Przyjechaliśmy do Warszawy, tam rozdzielano wagony, część jechała na północ, a my do Kielc, na południe. Nawet wychodziłam z mamą do budynku dworcowego. Pamiętam też ogniska palące się na torach. Przypuszczam, że palili je żołnierze, ale pewności nie mam.

Warszawa niemal zrównana z ziemią robiła przygnębiające wrażenie. Mama nikogo nawet nie próbowała wtedy odszukać, choć w Warszawie lub jej okolicy miała sporo dalszej rodziny. Przyłączono nas do jakiegoś pociągu i pojechaliśmy do Kielc, nie wiedząc, czy kogoś zastaniemy. Dojechaliśmy szczęśliwie i zastałyśmy rodzinę w komplecie. Tam przeżywałyśmy zakończenie wojny. Byłam właśnie na podwórzu, gdy zaczęto strzelać na wiwat. Przerażona wpadłam do domu. Uciekajmy, bo strzelają. Zresztą uraz pozostał mi na lata. Potem na Śląsku, gdy wprowadzono święto lotnictwa, a nad naszym miastem odbywały się pokazy lotnicze, gdy usłyszałam warkot samolotów przybiegłam do domu: Mamusiu, uciekajmy do piwnicy, nalot!

Nasza podróż z Wilna do Kielc, zgodnie z pieczętkami na zachowanej do dziś. karcie repatriacyjnej, trwała od 4 kwietnia do 3 maja; nie wiem jak długie były te pociągi, ale nam wyznaczono w Wilnie wagon 31. A chyba nie był to wagon ostatni.

\* \* \*

Tak z grubsza wyglądały dzieje mojej rodziny w czasie wojny, odtworzone z notatek ojca i opowiadań głównie mamy. Osobistych wspomnień mam raczej niewiele, ale i tego trochę się znajdzie. Może więc teraz spróbuję opowiedzieć trochę o życiu nas, dzieci, tak jak to zapamiętałam, bądź odtworzyłam w oparciu o wspomnienia w jakiś sposób i w różnych okresach przekazywane mi przez innych.

\* \* \*

Początek wojny to dla mnie okres bardzo ciężki. Dużo wtedy chorowałam. Opiekująca się mną lekarka poleciła mamie, by podawała mi kleik ryżowy, bo tylko to może mnie uratować. Ale skąd go wezmę, Pani Doktor? – zapytała mama. Nazajutrz przysłała jakaś dziewczynka z torebką ryżu: pani Doktor to przysłała. Ten ryż zdaniem mamy uratował mi życie. Lekarka twierdziła, że wyjątkowo silny organizm, bo tylko jedno dziecko na sto przeżyje taki splot chorób.

W okresie, gdy mama pracowała w szpitalu, na terenie Wilna wybuchła epidemia dżumy, a może innej choroby. Ludzie padali, wijąc się z bólu i umierali w męczarniach. Epidemia dotknęła tylko tych, którzy korzystali z wodociągów miejskich. Myśmy mieli wodę ze studni, więc nas to nie dotknęło. Ale lekarz poradził pracownikom w szpitalu, by wieczorem, jeśli mogą, wypily po kieliszku wódki, aby zdezynfekować organizm.

\* \* \*

Siostra początkowo chodziła do szkoły litewskiej, przeżywała przy tym jakieś dziecięce tragedie, które do dziś wspomina. Po pierwszym dniu w szkole, do której została skierowana zgodnie z rejonizacją, stwierdziła, że do tej szkoły więcej nie pójdzie. Mama bała się, by uraz nie pozostał na całe życie. Udało jej się załatwić zmianę szkoły.

\* \* \*

Nie wszyscy, którzy uważali się za Litwinów znali ten język, a nawet ci, którzy nie znali, którzy skończyli szkoły czy uniwersytet polski, mieli do nas żal i pretensję, że nie znają litewskiego. To według nich była wina Polaków. Ci byli nastawieni do Polaków niechętnie czy nawet wrogo. Ale nie wszyscy tacy byli. Jakiś czas mieszkała w naszym mieszkaniu rodzina litewska i stosunki układały się nie tylko poprawnie, ale można powiedzieć, że nawet dość przyjaźnie. Ten człowiek potem wiele nam pomógł. (Miał synka w moim wieku i chętnie się bawiliśmy, przy czym ja chwytalam niektóre słówka litewskie a on – polskie). W okresie, gdy nie wolno było Polakom mieć radiodbiorników i mama musiała się pozbyć naszego aparatu radiowego (znajoma pani wyniosła go z naszego domu na plecach, w worku, udając, że niesie wór kartofli) a Litwini mieli prawo go posiadać, czasami chodziła mama do niego, gdy już mieszkali gdzie indziej, aby posłuchać wiadomości. Chyba także z jego pomocą dostała się do autobusu jadącego w kierunku Kowna, gdy chciała dostać się do sędziego wojskowego w sprawie ojca. Powiedział jej wtedy, że gdy usłyszysz, że wyczytują jej nazwisko, ma powiedzieć ira i wejść do autobusu. To było jedyne słowo litewskie, które wtedy mama знаła.

\* \* \*

Nauka siostry w szkole trwała bodaj około dwóch lat. Potem uczyła się w domu. Podręczniki według programów przedwojennych zdobywała mama na ryneczku. Książki i wszystkie, nie tylko podręczniki ale i książki do czytania. Biblioteki szkolne, były przeznaczone na spalenie. Nie wiem, który z okupantów to zarządził, ani czy polecenie to wykonywano przy szkołach, czy poza nimi. Dość, że znaleźli się śmiałkowie, najczęściej dzieci, byli uczniowie tych szkół co wykradali książki na spalenie przeznaczone, bądź wyrzucane do ogniska. Igrając z niebezpieczeństwem wynosili je, a potem ktoś to sprzedawał. W ten sposób mama zaopatrzyła siostrę w niektóre podręczniki i w powieści dla dzieci. Zdobyła oprawne roczniki Płomyka i Płomyczka. Dla mnie natomiast przyniosła skądś klocki z literkami. Bawiłam się tym całymi dniami, co pewien czas zanudzając kogoś pytaniem: co to za literka. I nie wiadomo kiedy nauczyłam się czytać. W wieku czterech lat już czytałam (tylko teksty drukowane). Wynikło z tego powodu kiedyś nieporozumienie. Przyszedł do domu jakiś tajniak, chciał odnaleźć ojca, myślał, że może gdzieś się ukrywa. Uważał, że najwięcej informacji może uzyskać od najmłodszej

osoby, więc zaczął mnie wypytywać kim jest tatuś. A ja akurat czytałam wierszyk o lotniku, więc niewiele myśląc odpowiedziałam., że lotnikiem. On potem zaczął rozmowę z mamą i nawiązując do rozmowy z dzieckiem powiedział, że wie, iż mąż był lotnikiem. Mama zapytała skąd mu to przyszło do głowy. Odparł, że od dziecka.. A mama stwierdziła: I pan w to wierzy? Niech pan zobaczy o czym ona czyta. Dziecko ma bujną wyobraźnię, za każdym razem wymyśli coś nowego. Poważny człowiek nie może wierzyć we wszystko, co takie dziecko powie.

\* \* \*

Życie rodzinne, zwłaszcza zimą, skupiało się w jednym, większym pokoju, obok kuchni. Całą zimę na środku stała metalowa „koza”, piecyk, na którym mama gotowała, jeśli miała co włożyć do garnka, a przy sposobności ogrzewała pokój. Mimo tego na ścianach pokoju była dość gruba warstwa szronu, a okna były pięknie przez mróz pomalowane. Siostra nauczyła mnie, że należy jakiś czas chuchać w jedno miejsce na szybie, a lód się stopi i przez tę dziurkę wyglądając można wyglądać na dwór.

\* \* \*

Pamiętam, że kiedyś wieczorem, gdy światła były wygaszone, odsunęliśmy nieco rolety (bo przecież obowiązywało ściśle zaciemnienie) i obserwowaliśmy niebo. Stożek świetlny przecinał się gdzieś wysoko w górze i w tym miejscu uwijał się samolot. Wyglądał jak mała poślaczana zabaweczka. Wtedy wyglądało to ślicznie, do dziś mam ten obrazek przed oczami. Ale dopiero po latach zrozumiałam, że pilot usiłował się wyrwać, lecz szanse na uratowanie i siebie i maszyny były znikome. Co on wtedy musiał przeżywać? Nawet jeśli na moment udało mu się wyrwać z tego stożka, to i tak za chwilę reflektory, zakreślając po niebie ogromne luki, odnajdywały go i prowadziły dalej.

\* \* \*

Tylko z początku siostrę uczyła mama. Potem powstał komplet złożony z kilku dziewczynek, znaleziono nauczycielkę, która podjęła się nauczania. (Nie wiem, czy dopiero wtedy nawiązano te znajomości, ale przecież aż do śmierci pań kontakt był stałe utrzymywany; zadzierzgnięte w czasie wojny przyjaźnie okazały się najtrwalsze.) Lekcje odbywały się kolejno w poszczególnych domach. Poza tym dziewczynki przygotowywały także przedstawienia, uczyły się prostych tekstów, przygotowywały stroje z dostępnych im materiałów. A potem było galowe przedstawienie raz w jednym domu, raz w drugim. Kurtyną był koc zawieszony między dwiema ścianami. A widownię stanowiły rodziny. Dla mnie to było wielkie przeżycie. Zwłaszcza przeżywałam pierwsze przedstawienie, kiedy to kotek płakał, bo rozlał mleczko. Kotkiem była. chyba moja siostra, a z przewróconego na stołeczku garnuszka, jak sobie przypominam, rzeczywiście wyciekło coś białego. Wtedy byłam przekonana, że było to naprawdę mleczko.

\* \* \*

Kiedyś siostra miała iść na lekcje na sąsiednią ulicę, gdy przyszła pani nauczycielka. Niech Lilusia tam nie idzie, bo zrobiono tam „kocioł”. Tak nazywano domy, obsadzone przez wojsko i policję, do których ludzi wpuszczano, lecz ich już nie wypuszczano. Chodziło o wylapanie tych, którzy do tego domu przychodzili. I opowiadała dalej, że poszła trochę wcześniej, a gdy szła ścieżką przez ogród zorientowała się, że coś nie jest w porządku. Ale już ją zobaczył żołnierz, który wyszedł z domu i uprzejmie zapraszał ją do środka. Na szczęście miała przy sobie naszą, książeczkę, oprawny tom Płomyczka. Wyciągnęła go zatem z torby i powiedziała, że nie wejdzie, bo nie ma czasu, ale chciała oddać tę książkę i bardzo prosi., by on ją przekazał gospodarzom. I o dziwo! Udało się. Żołnierz książkę od niej wziął, a nie zmuszał jej do wejścia. Tylko ja nie byłam tym zachwycona, bo wtedy Płomyczek był moją lekturą.

\* \* \*

Na żywność przydzielane były kartki. W pewnym okresie można było otrzymać miesięcznie dwa kilo mięsa końskiego lub kilo innego. Mamie zależało na ilości – chodziło o wykarmienie rodziny, Kupowała koninę (zresztą było to mięso smaczne, tyle, że bardziej wodniste. Do dziś nie potrafię zrozumieć dlaczego niektórzy ludzie brzydzą się koniną a zjadają wieprzowinę. Wieprz wejdzie wszędzie, a koń nawet brudnej wody pić nie będzie). Smażyła z tego kotlety na jedynym dostępnym tłuszczu – tranie. Podobno bardzo mi te kotlety smakowały. A gdy usmażyła na tranie placki ziemniaczane – to potrafiłam jeść je trzy dni, choćby na zimno i bardzo mi smakowały. Czasem pojawiał się



inny rarytas – zdobyte skądś jajka. Przepadałam za kogłem-mogłem (tylko skąd mama brała cukier, słodziło się przecież sacharyną?). Osobiście ucierałam w kubeczku jajko z cukrem.

Jedna ze znajomych pań zarabiała na życie robiąc cukierki z mleka – coś w rodzaju krówek, tylko w postaci kuleczek. Jak to robiła pozostało jej tajemnicą. Ale czasem i my skorzystałyśmy z tego smakołyku. To były naprawdę smaczne cukiereczki, zwłaszcza, jeżeli otrzymywało się je niezmiernie rzadko.

\* \* \*

Wracałyśmy z wakacji w Weronowie, pierwszych i jedynych wakacji wojennych. Już jeździły pociągi, głównie transporty wojskowe, do których doczepiano kilka krytych wagonów towarowych dla ludności. Zresztą wojsko też jechało w wagonach towarowych. Siedziałyśmy na stacji czekając na pociąg. My obie przytuliłyśmy się do mamusi, tak było i ciepłej i było w tym jakieś poczucie bezpieczeństwa. W budynku dworcowym byli i żołnierze. Jakiś żołnierz rosyjski pogłaskał mnie po główce i powiedział: krasiwaja dziewczka. A potem, gdy nadjechał pociąg, ludzie rzucili się do wagonów. Wyszła i mama z nami, nie wiedząc dokąd iść. I wówczas żołnierze z najbliższego wagonu zaprosili: Tiotuszka, idi siuda z riebiatkami. Przy wejściu do wagonu stała ławka, posunęli się trochę i zrobili nam miejsce.

Ale nie tylko rosyjscy żołnierze lubili dzieci. Kiedyś, jeszcze za Niemców, szłam ulicą z mamusią i mijający nas oficer niemiecki dał mi cukierka. Mała byłam, mogłam mieć cztery, co najwyżej pięć lat. Ale mama zawsze nas uczyła, by od wroga nic nie przyjmować. Teraz wzięłam wprawdzie cukierka, ale po przejściu kilku kroków smyrnęłam go do mijanego ogrodu. Mama opowiadała potem, że czekała czy do niej nie strzeli. Ale nie – widocznie nie oglądał się, więc tego wyczynu malucha nie zauważył.

\* \* \*

Raz do naszej gospodyni, u której akurat była mamusia, przyszedł żołnierz rosyjski z czterema jeńcami niemieckimi. Zażądał, a może poprosił: jest' u was łuk (cebula) i chleb?. Jedna przyniosła chleb, druga dała kilka cebul. Rozdzielił wszystko na pięć części, kazał każdemu zabrać po jednej, piątą wsadził sobie do kieszeni i dodał, tytułem wyjaśnienia: Oni gołodni i ja gołodnyj. A im polecił: tylko, żeby komandir o tym się nie dowiedział.

\* \* \*

Pewnego razu zimą mama poszła do znajomych i usłyszała, że ktoś rzezi. Zapytała, co się stało. Mąż poszedł z tytoniem w teren i wrócił potłuczony. Leży teraz na brzuchu i z trudem oddycha, dlatego to brzmi jak rzeżenie. Okazało się, że idąc lasem mijał kolumnę jeńców sowieckich pilnowanych przez Niemców. Ponieważ jak zwykle byli zagłodzeni, zaczęli prosić: chleba, machorku. On niósł na sprzedaż liście tytoniu. A z powodu mrozu ubrany był w kozuch wszyty w stary płaszcz. Zrobiło mu się żal ludzi, sięgnął za pazuchę wyciągnął trochę liści i rzucił. Oczywiście tamci rzucili się na to. Zauważył to konwojent: halt, halt. Dopadł do tego człowieka, przewrócił i zaczął walić kolbą i kopać. A potem zostawił. Uratowało go grube futro i warstwa tytoniu. Ale plecy – to była jedna rana.

\* \* \*

Ale są i inne wspomnienia, już z przeżyć osobistych. Pierwsza komunія święta mojej siostry. Zapamiętałam gromadkę dziewczynek stojących w kilku rzędach w kościele. Dziś mi się wydaje, że stały czwórkami w 4-5 rzędach. Z przodu w krótkich sukieneczkach, w tej liczbie i siostra, potem w długich. Wszystkie w bieli. Chłopców nie zapamiętałam. (A po kilku dniach siostra zabrała mnie ze sobą do księdza, by jej się wpisał do książeczki). Po południu była w domu uroczystość, przyszły koleżanki z kompletem z rodzicami, potem dziewczynki poszły na podwórze. Mama przygotowała dla dzieci poczęstunek. W pewnym momencie, któraś ze starszych dziewczynek posłała mnie na górę: Idź – powiedziała – przynieś kanapkę. Nie znałam jeszcze tego określenia. Chyba pierwszy raz w życiu dowiedziałam się, że są kanapki do jedzenia. Ale w pokoju stała stara pokryta niebieskim materiałem kanapa z bocznymi oparciami w kształcie wałków. Poszłam więc do pokoju i zaczęłam się szarpać z wałkami, by choć jeden znieść na dół. W końcu zrezygnowana poszłam na dół i oznajmiłam dziewczynkom, że nie potrafię oderwać wałka. Dopiero wtedy mi wyjaśniły, że nie chodzi o kanapę do siedzenia, ale o kanapkę do jedzenia – i wytłumaczyły jak to wygląda i gdzie mam tego szukać.

\* \* \*

Mamie udało się kupić na rynku starą maszynę do szycia. Brakowało w niej tylko szufladki, ale i taką rzecz innym razem udało się dokupić. Nauczyła się szyć i zaczęła od przeróbek; najpierw nicowała stare płaszczyki, potem według tamtego kroju zaczęła stare ubrania ojca, a może i swoje przerabiać na ubrania dla dzieci. W ten sposób była w stanie nas ubrać od góry. Skarżyła się w liście pisanym do Kielc, że nie może zdobyć pończoszek i bucików. Moje maleństwa nie mają w czym chodzić. Wtedy jeszcze kobiety i dziewczynki nie nosiły spodni. To nastąpiło dużo później, dopiero w latach pięćdziesiątych. Konieczne zatem były sukieneczki i pończoszki. W końcu nie wiem, skąd je mama zdobywała. Bo nie pamiętam, bym chodziła boso. Ostatecznie zawsze jakieś wołoczki były zimą na moich nogach (a na dwór chyba na to wkładało się kaloszki – przynajmniej chroniły od wody).

\* \* \*

Tuż przed opuszczeniem Wilna poszliśmy do Ostrej Bramy, najpierw na piętro do kaplicy, a potem na dół, na zakupy. W bramie pod kaplicą mieściły się stragany. Przewidując, że tu już nigdy nie wrócimy, mama pozwoliła nam wybrać sobie jakieś pamiątki. Kupiła wtedy dla mnie ryngraf i pierścioneczek z Matką Boską Ostrobramską. Przyjechały ze mną na Śląsk i towarzyszą mi jako pamiątka tych niepowtarzalnych lat dziecinnych. Wraz z wyjazdem zamknięty został pierwszy rozdział mego życia. Czekala nas wielka niewiadoma, coś, czego żadną miarą nie dało się przewidzieć. Wprawdzie podałyśmy jako cel podróży albo Kielce albo Rejowiec nad Chełmną, ale przecież nie wiedziałyśmy, czy ci, do których się kierowałyśmy, jeszcze są przy życiu i czy będą nas mogli przyjąć. Mówiono nam: zostawiajcie wszystko, tam otrzymacie umeblowane mieszkanie. Jechaliśmy, mając jako wyposażenie do mieszkania: metalowe łóżeczko dziecinne, dwa krzesła i maszynę do szycia. To pojechało potem z nami na Śląsk.

Po roku pracy w Starostwie mama otrzymała (niestety dopiero za butelkę samogonu przywiezionego nam z Kielc przez wujka) dokładnie wyszabrowane przez Polaków mieszkanie. Przez dłuższy czas zabrane z Wilna meble stanowiły jedyne jego wyposażenie. Potem trzeba było szukać po strychach i piwnicach pochowanych tam mebli, za które i tak w przyszłości musiałyśmy zapłacić. W ten sposób zaczynał się drugi etap mego życia. Ale to już osobna historia.